Rok 1901. Lwów, 10. Marca Nr. 10.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów · Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 10. marca. Nr 10.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 10:

Enesmol.

Prof. Lutosławski we Lwowie

(Wiązanka wrażeń).

— — — i tak na ogół była wśród młodzieży lwowskiej wielka apatya, cisza, bezbarwność i głusza...

Na takiem to tle ukazał się zeszłej niedzieli cały szkarłatny od jednej wielkiej i cudnie barwnej jak szeroka, u dołu obramowana, szata króla Derwida, idei, jaką był przepełniony, cały drgający życiem szlachetnego posłannictwa, z jakiem przyszedł i cały rozśpiewany dalekonośnemi tony pieśni poświęcenia, apostoł ducha filareckiego i wielki emisaryusz idei platońskiej, profesor Lutosławski!...

Człowiek, który ma trzy doktoraty, (filozofii, medycyny i chemii), który włada sześcioma językami i swemi dziełami z zakresu filozofii i chemii, pisanemi przeważnie po angielsku, francusku i po niemiecku, zdobył sobie bezwzględne uznanie całego uczonego świata Europy i mógłby był, gdyby chciał, po pierwsze w Europie katedry uniwersyteckie sięgnąć, ten człowiek zjechał przed rokiem do kraju, aby „świecić wśród swoich".

Et sui eum non receperunt. To tak zawsze... U nas im kto jest większy, tem pewniej sobie rozbija głowę o belki społeczne, których my mamy tyle, im kto nauką i znaczeniem usiadł na stopniu wyższym, tem go, jak w parni więcej parzy ukrop ogólnej zawiści i przesądów.

Prof. Lutosławski jest tego jednym z dalszych, krzyczących i pomstę wołających dowodów. Dano mu w Krakowie *veniam legendi*. Skromny co prawda i nie zbyt pożywny ogryzek, ale i tego mu żałowano. Po roku mu go odebrano. Stało to się w epilogu po wielu niegodnych *Almae matris Jagiellonicae* krokach, wśród których figurował np. taki, iż na jeden z wykładów prof. Lutosławskiego wydelegowano dwóch psychiatrów na przeszpiegi. Skutek był niezawodny Minister oświaty odebrał Lutosławskiemu *veniam legendi*.

Za granicą, gdzie dla ludzi nauki ma się zawsze konieczną dozę wyrozumiałości, byłoby to wprost niemożliwem. Człowiekowi, który ma trzy doktoraty, który jest dziś pierwszym w Europie znawcą Platona, który, gdyby się poświęcił wyłącznie chemii, kto wie, czyby nie wynalazł tajemnicę komórki organicznej, takiemu darowanoby tam zupełnie gońkę góralską i inne nieszkodliwe ekscentryczności, tak jak się darowuje jakiemuś uczonemu panu X z Heidelbergu, jeśli przyjdzie do bramy własnego mieszkania, zadzwoni i zapyta się stróża, czy tu mieszka... uczony pan X z Heidelbergu. Jednostki, które zdołały objąć umysłem horyzonty, wprost niezrozumiałe dla przeciętnych osobników, w zetknięciu się z życiem codziennem, wymierzonem cyrklem konwenansów muszą być ekscentryczne i w swej oryginalności mogą się posunąć aż do dziwactw, nazywanych w słowniku nieszkodliwych zjadaczy chleba, dziwactwem.

Prof. Lutosławski musiał opuścić gród Kraka. Opuścił go z bezbrzeżnem rozżaleniem w sercu i strząsnąwszy u Floryańskiej bramy pył z sandałów swoich, zjechał zeszłej niedzieli do Lwowa. Na dwa dni przedtem skromne, nawet niesłychanie skromne afisze z firmą uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza ogłosiły kolejno dzień po dniu dwie jego prelekcye „O duchu filareckim w utworach trzech wieszczów".

I o dziwo!... Sala ratuszowa mimo zupełnego braku reklamy dziennikarskiej i mimo odstraszającej raczej dla wielu, niż przyciągającej firmy uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza, (szanujący się i chcący być dobrze widziani ludzie nie chodzą na wykłady tego uniwersytetu ludowego, ale tego drugiego ze stampilią rządową) zapełniła się od razu na pierwszej prelekcyi w dosłownem tego słowa znaczeniu po brzegi. Czegóż to dowodzi?... Oto, że publiczność miewa czasami swoje przeczucia, które jej bynajmniej nie zawodzą.

Ten wypadek właśnie zaszedł i co do prof. Lutosławskiego. Zapowiedział dwie prelekcye na niedzielę i poniedziałek, dodał jeszcze we wtorek nadprogramowo trzecią i na wszystkich trzech tłoczono się jakby na jakimś odpuście. Wobec takiego powodzenia zapowiedział prelegent jeszcze „czwarty gościnny występ na ogólne żądanie" i nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby nie miał znów sali przepełnionej, jakkolwiek tym razem terenem popisów jest obszerna sala „Sokoła".

Niezmiernie charakterystyczną była chwila, kiedy prof. Lutosławski ukazał się na katedrze i zaczął mówić. Poszły ku niemu spojrzenia wszystkich, spojrzenia oczu rozciekawionych, zaintrygowanych. Na katedrze ukazał się człowiek o wygolonej do czysta twarzy, o wybitny góralskim typie z pod Krakowa, której szczyt stanowiło wysokie, gubiące się w charakterystycznie srodkiem głowy idącej łysinie czoło myśliciela.

Ozdobę tej twarzy stanowiło dwoje wymownych, jarzących się oczu, z których wyzierała szlachetna dusza entuzyasty. Szeroko zakrojone grube usta krasił półuśmiech, tający się w kącikach ust. półuśmiech trochę sceptyczny, więcej dobrotliwy, wyrozumiały. Takim półuśmiechem spokojnym greckim uśmiechać się musiał boski Plato, gdy siedział okolony uczniami, wpatrzonymi w niego jak w tęczę.

Z wyglądu prelegenta trudno określić przypuszczalną liczbę jego lat. Można mu dać 28, a także i 40. Jedną i drugą cyfrę wygląd zewnętrzny potwierdza w zupełności. Opięty w obcisły czarny surdut niemieckiego profesora prof. Lutosławski mówi..

A gdy tak mówi, wszyscy słuchają go z wytężoną ciekawością. Prof. Lutosławski widocznie działa na słuchające go tłumy. Czy wymową?... Nie — mówi bowiem dość staccato. Czy idealnością rysów? Również nie — bo do pięknych wcale

nie należy. Nie działa nawet oryginalnością zwrotów i powiedzeń. Tych bowiem nawet nie ma. Owrzem uderza to nawet odrazu każdego, że ten wielki Lutosławski, potężnej wiedzy uczony, gdzieś skromnie się ukrył a z katedry przemawia jedynie wysłannik wielkiej idei filareckiej, który nie pragnie olsniewać ale wzruszać.

Stosownie do tytułu, ogłoszonego afiszami, należało się raczej spodziewać, że Lutosławski obejmie naprawdę całość objawienia filareckiego i podkreśli je wszędzie tam, gdziekolwiek ono w utworach trzech wieszczów wystąpiło. Tymczasem prelegent ograniczył się do jednego z utworów każdego z wieszczów i takim jednym utworem wypełnił jeden wieczór.

Mówił przez pierwszy wieczór o duchu filareckim w „Genesis ducha“ Słowackiego, przez drugi w tenże sam sposób analizował Mickiewicza „Konrada Wallenroda“, wreszcie w trzeci wieczór omówił w analogicznej formie „Trzy myśli Krasińskiego, a dodatkowo utwór mistyczny Wyspiańskiego „Legion“.

Prelekcya odbywała się w ten sposób, że prof. Lutosławski czytał dany utwór „a capo al fine“ i go na swój sposób komentował. Czytał coprawda w sposób, w jaki szanujący się recytator mógłby się pogrzebać na zawsze, ale czytał szczerze z przejęciem się z ogniem i zapałem. Głos mu się chwilami łamał, chwilami przechodził w półszept tak nastrojowy, że wprost niezrozumiały, to znów nabierał takiej mocy, że przechodził w bezsilne ochrypnięcie, rażące jak zgrzyt żelaza po szkle.

Prelegent czytał po to, ażeby z chciwością rybaka wyławiać co chwila jakąś perłę filarecką, ukrytą w falach myśli poematu, wydobyć ją na wierzch i błysnąć nią przed oczyma rzeszy wokoło zebranej na brzegu.

A rzesza słuchała cierpliwie i z przejęciem się. Słuchały piękne o wschodnich rysach żydówki z „Ogniska“ (płeć piękna w. m zajmuje się na seryo literaturą bieżącą i pod tym względem stoi bez porównania wyżej od swych chrześcijańskich rówieśniczek, przynajmniej obecnie we Lwowie), słuchali akademicy, zwabieni nazwiskiem profesora, który nie mógł się zgodzić z senatem akademickim w Krakowie, słuchali wreszcie w znacznej większości na sali reprezentowani studenci. Trafiały się tu i ówdzie i osoby z dobrego towarzystwa, ale te słuchały z wielką rezerwą i z miną zawiedzionych śmiertelnie istot, gdzieniegdzie nawet można było zobaczyć którąś z powag literackiego i naukowego świata lwowskiego, jak zaszyta w kąt skromnie łowiła uszyma uwagi, idące z katedry „promienistego“ prelegenta.

A z tej katedry przemawiało do nich równocześnie aż trzech prelegentów. Pierwszy to był prof. Lutosławski, rozżalony na wszystkich i wszystko, a w pierwszym rzędzie na senat krakowskiego uniwersytetu, że się z nim niegodziwie obszedł, drugi to był prof. Lutosławski, znawca, krytyk i komentator literacki czytanego utworu, trzeci wreszcie to był prof. Lutosławski, filaret, wysłannik i apostoł szlachetnych idei promienistych, które przyświecały Mickiewiczom, Zanom, Czeczotom itd.

Dla nas i dla wszystkich jest najciekawszym ten ostatni, daleko mniej ciekawym jest ów drugi rozżalony a już najmniej ciekawym, bo chwilami nawet niezrozumiały, a nieprzekonywujący i za apodektyczny ów trzeci krytyk znawca i komentator.

Uważamy za zupełnie bezcelowe streszczać chronologicznie z dokładnością reporterską wszystkie trzy dotychczasowe prelekcye prof. Lutosławskiego. Byłby to nawet eksperyment zupełnie pozbawiony szerszego zainteresowania.

Prof. Lutosławski jako krytyk i komentator utworów wielkich poetów bynajmniej nie imponuje. Komentuje je bardzo jednostronnie, wcale niezajmująco. Bardzo często się powtarza a jeszcze częściej przesadza w daleko idących wnioskach i uogólnieniach. Nie można mu nawet tego brać za złe. Takimi są zawsze i nimi być muszą wyznawcy każdej dotkryny, boć w tym wypadku i szlachetny duch filarecki, jakiego Lutosławski na gwałt szuka u wieszczów polskich jest do pewnego stopnia doktryną jego, wprawdzie bardzo szlachetną, ale zawsze doktryną. Ta doktryna każe prelegentowi rzucać tego rodzaju np. twierdzenia, że Konrad Wallenrod jest poematem miłości, podczas gdy każdy wie, że miłość jako taka stoi w tym poemacie na drugim raczej planie, a jej przebieg i szczegóły bardziej zaciemniają przejrzystość budowy poematu niż go rozjaśniają. To nie przeszkadza profesorowi Lutosławskiemu utrzymywać, że jest tam najwyższy polot, jaki miłość w poematach literatury wszechświata zdołała dotychczas osiągnąć. W ten sam sposób musimy wierzyć prof. Lutosławskiemu na słowo, gdy nas zapewnia, że „Genesis Ducha“ mglisty i niejasny poemat prozą Słowackiego, napisany jak sam poeta przyznaje „nad brzegiem morza bez przyzwolenia myśli i przy uśpionym rozumie..“ jest szczytem objawienia literatury całej.

Już więcej ciekawym jest prof. Lutosławski jako prelegent rozżalony na wszystkich i wszystko. Struna ta tylekroć odzywała się podczas wszystkich trzech prelekcyj, że ją należy traktować jako odrębny, zasadniczy ton. I tak prof. Lutosławski żali się wciąż, że ma zadużo publiczności przed sobą, że ma zamało świętej ciszy. Swój wykład uważa za pewnego rodzaju nabożeństwo narodowe, odprawiane z księgami wieszczów narodu w ręku i jest smutny, że nie widzi u słuchaczy należytego skupienia i pietyzmu.

Żałuje przytem wciąż tych, którzy zmuszeni są stojąc, słuchać słów jego. Najbardziej jednak żałuje siebie. Wykłady takie tłumne to nie jest jego wydział. Zanadto go kosztują zdrowia, a rezultat zwykle nie odpowiada oczekiwaniu. Co chwila zapewnia, że to już ostatni z jego strony tego rodzaju eksperyment życiowy.

Najgłośniejszym jednak jękiem odzywa się u niego wciąż rozżalenie do senatu krakowskiego. Uniwersytety rządowe wogóle ma we wielkiej pogardzie, nazywa je fabrykami urzędników. Nie pominie przytem żadnej sposobności, aby nie wsadzić piki autorowi „Wypisów polskich dla wyższych szkół średnich“, którego nazywa „wielkim krakowskim krytykiem“. Najbardziej jednak charakterystyczne odezwanie się jego na ten temat było następujące. Zapowiadał czwartą z rzędu prelekcyę i wahał się przytem, czy się zdecydować na to, czy nie. Odezwały się liczne głosy; wołając „prosimy — prosimy!..“

Przerwał je brutalnie, jakby z pospiechem i rzekł:

— Nie proście, bo to mało... Nie wierzę w szczerość... W Krakowie miałem około 500 słuchaczy, którzy tłumnie chodzili na moje wykłady i zapewniali, że mnie wielbią i kochają. W chwili zaś, gdy fakultet medyczny uznał mnie za obłąkanego, nie znalazło się z tych 500, choćby 10 takich, krórzyby przeciw temu zaprotestowali!..

Pozostaje jeszcze prof Lutosławski, jako filaret i jako emisaryusz, apostoł i wysłannik słonecznych i szlachetnych idei promienistych. Ten jest naprawdę wielkim i porywającym i jeżeli tamci dwaj wywołują czasem niesmak i niechęć, to ten trzeci maże niedostatki tamtych i nakrywa je jakby wielkim szkarłatnym płaszczem swego apostolstwa. W chwili, gdy Lutosławski głosi ideję filareckiego ducha jest taki prosty i taki szlachetny.

Bo cóż znaczy być filaretem?... To znaczy być samemu dobrym, szlachetnym, wolnym od pęt światowych, pęt grzechu i namiętności, to znaczy świecić drugim przykładem i wzorem, to znaczy dążyć do coraz to wyższej doskonałości, Ojczyznę kochać nad wszystko i dla jej dobra być zdolnym nawet poświęcić życie, zwłaszcza, że jest Zmartwychwstanie. Obowiązkiem dafilareta jest udoskonalać drugich. Nie całe masy chcieć pociągać na stopnie wyższej doskonałości, bo to przechodzi siły jednostki, ale pojedyńczych ludzi, co najwyżej pojedyńczych rodzin.

Ludzie wogóle się dzielą na baranów, dbających jedynie o swoje żołądki i na działających dla dobra idei. Ci działający dzielą się na społeczników i na filaretów. Społecznikami są np. socyaliści. Za wielki sobie zakreślają program, nigdy go nie wykonają. Gdyby każdy był filaretem, świat cały możnaby bardzo łatwo dźwignąć i uszczęśliwić. Filaret winien ciągłą modlitwą u Boga wyprosić sobie ten „najwyższy krok“ doskonałości i na niej się utrzymać. Przytem jak najmniej osobistej ambicyi i chęci przewodzenia drugim. Filaret dowództwo przyjmuje wtedy, gdy musi. Przyjmuje je jako ofiarę, jako konieczność, gdy o dwa kroki widzi dalej, niż inni...

Tak mówi prof. Lutosławski, apostoł idei filareckich, a gdy tak mówi, głos ma przytem taki dziwnie miękki, szlachetny, tak nieprzeparcie wświecający się w serce słuchacza promieniami, naprawdę wielkiej i szlachetnej idei. A tak nam jej zaczynało braknąć. W chwili, gdy prof. Lutosławski ukazał się we Lwowie, by ją głosić, zwróciły się nań oczy całej młodzieży. Jeśli za oczyma pójdą i serca, może powrócą słoneczne, jasne dni wileńskie. Oby powróciły.. Z kręgu promieni filareckich wyłoniły się wielkie słońca poetów naszych. Dlatego można i trzeba gorąco i z przejęciem się powtarzać za prof. Lutosławskim: *Veni lumen...*

A można je powtarzać z tem większą wiarą i pewnością siebie, że prof. Lutosławski, mimo swych ekscentryczności, (jeśli je ma), jest przecież człowiekiem idei, której nie zawahał się poświęcić wszystko. Walczyć musi strasznie z przeciwnościami (patrz rząd, policya, socyaliści, klerykalizm itd.). Ale cóż bez walki? Może zwycięży?... Czasem zwyciężają ludzie, tacy jak on, którzy mają swych przekonań odwagę nie tę jednodniową,

Która za lada przeciwnością pryska,
Lecz tę wytrwałą, co z wzniesionem [czołem,
Nie da się zepchnąć z swego stanowi- [ska.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

„Ba! — odrzekła Gärtnerowa. — Wszak niema pieca, to pan nie potrzebuje palić, a że ściana jedna ciepła od kuchni, więc darmo pan zyskuje na tem opał“.

Staś się zgodził i tegoż dnia zamieszkał w nowym pokoiku od podwórza. Gärtnerowa nie uważała za potrzebne założyć mu firanek, „aby nie odbierać reszty światła pokojowi“ jak zapewniała. Widząc natomiast jego przygnębienie, znając powody zmartwień, dała mu radę, której on się uchwycił rozpaczliwie. „Podaj pan ogłoszenie do gazet, że podejmujesz się prac piśmiennych w domu — rzekła doświadczona kobieta, — a z pewnością się coś dla pana znajdzie“.

Tego samego dnia Staś podał ogłoszenie do „Local-Anzeigera“, zapłacił z westchnieniem markę i oddał się marzeniom, że niebawem zjawi się jakiś bogaty kapitalista, który mu zaofiaruje miejsce swego przybocznego sekretarza i każe mu tylko załatwiać swą korespondencyę, odczytywać listy i książki, da mu pomieszkanie i jedzenie...

Na drugi dzień po umieszczeniu anonsu Staś zgłosił się w ekspedycyi pisma, aby się dowiedzieć, czy są jakie oferty, lub listy. Nie było żadnych. Kazano mu przyjść nazajutrz.

Przyszedł więc nazajutrz i z biciem serca zapytał, czy co nie nadeszło. Panna załatwiająca interesentów, przejrzała szybko listy, nadeszłe pod literą jego nazwiska i po chwili podała mu dwie zapieczętowane koperty.

Biedakowi drżały ręce ze wzruszenia, gdy je po chwili otwierał w bramie jakiegoś domu. Był pewien, że trzyma w ręku prawie los, wygrywający na loteryi życia.

Lecz po chwili opuścił bezradnie ręce. W jednym liście znalazł propozycyę zbierania ubezpieczeń na życie za zwykłą prowizyą, a w drugim — propozycyę pisania adresów na kopertach po 3 marki od tysiąca.

Zbieranie ubezpieczeń! — znał to już dostatecznie, a pisanie adresów... — widział, co płacą za tysiąc.

Wrócił do domu, jakby zbity i chory.

Przez parę następnych dni przychodził do biura anonsowego, aby się dowiadywać, czy co nie przyszło jeszcze i za każdym razem dowiadywał się, że nic. Wreszcie panna, załatwiająca pytających, znała go z twarzy i wołała, zaledwo na progu się pokazał: „Nic nie ma dla pana!“

Tak przeszedł tydzień, a dni wlokły się coraz cięższe, coraz przykrzejsze.

Staś miał wprawdzie nadzieję, ale słabą, że matka, a raczej krewni, u których ona bawiła, zaproszą go na parę tygodni na święta. Ale i ta nadzieja okazała się płonną. Krewni jego matki, jak mu donosiła, wybierali się na święta do Warszawy, z zamiarem przepędzenia tam karnawału, a wobec tego jego matka znalazła się sama w kłopotliwem położeniu.

„Nie uwierzysz — pisała mu ta zacna, ale niezaradna kobieta — jak mi już zgorżkniało to życie na łasce krewnych i ciągłe baczenie, czy czasem kto krzywo nie spojrzy na mnie, że za dużo zjadam chleba. Jedyna moja nadzieja spoczywa w tobie, mój synu, i sądzę, że przecież dożyję czasów, gdy będę u ciebie mogła mieć swój kącik, gdy staniesz już o własnych siłach. Wątpię, czy ci będę co mogła przysłać na święta, prócz matczynego błogosławieństwa i opłatka, zroszonego łzami, bo to widzisz u obcych, choć niby swoich. — — —

A więc i ta nadzieja prysła. Staś stawał się coraz bardziej ponury i mizerniał coraz bardziej. Pieniądze już mu się kończyły. Poranną kawę pijał bez cukru, aby kawałek cukru schować sobie do wieczornej herbaty. Gärtnerowa to spostrzegła i zauważył, jak podejrzliwie zaczynała spoglądać na niego. Nie podobała się jej ta zbytnia oszczędność, świadcząca, że Staś miał zupełne pustki w kieszeni.

Wreszcie widząc, że zbliża się ku wyczerpaniu swych pieniędzy, a nie mając nic do zastawienia, ani do sprzedania Staś zdecydował się zgłosić do firmy, która potrzebowała ludzi do pisania adresów.

Załatwiono go krótko. Dostał paczkę z kopertami, paczkę gazet z ponakreślanymi anonsami osób, do których miał adresować kopertę i zapowiedź dalszej pracy, jeśli się z pierwszej dobrze wywiąże.

Pisanie tysiąca zajęło mu całe dwa dni. Popsuł przytem kilkanaście kopert, które musiał odkupić, a do biblioteki nie mógł wcale chodzić na naukę, obadwa dni bowiem musiał przepędzić skulony, ze zgrabiałemi od zimna rękoma, przy swym stoliczku.

Po pierwszym tysiącu poszły dalsze. Staś trawił codziennie do dziesięciu godzin na pisaniu adresów, a to co zarobił, starczyło mu na skąpe wyżywienie się. Na parę dni przed świętami dano mu tyle roboty, że jej nadążyć nie mógł. Siedział nocami i pisał, jak maszyna. Zarobił tyle, że parę marek mógł odłożyć. Nadchodziły przecież święta i chciał odpocząć. Gdy przed samemi świętami odniósł paczkę kopert i prosił o dalszy zapas, odpowiedziano mu, że sezon przedświąteczny się kończy, więcej reklam firma nie rozsyła, a zatem i jego praca jest już zbyteczna. Widząc, że pod biedakiem na tę wiadomość uginają się nogi, a pot zimny zrosił blade czoło, szef firmy dołożył mu jeszcze markę gratyfikacyi i życzył wesołych świąt

Staś wrócił do domu. Starał się wmówić w siebie, że mając przecież dziesięć marek z górą, może czas jakiś przetrzymać a i gospodyni w danym razie zakredytuje. Ale czarne myśli, jak wrony na jesienną, zwilgotniałą, ponurą rolę, spadały chmarami na jego biedny mózg.

Nie spał prawie wcale tej nocy. Rano wstał drżący, chwiejny, z rozpaczliwem w duszy pytaniem: A więc nawet i pisanie adresów jest jeszcze zbyt dobrem zajęciem dla niego! Więc los jeszcze niżej go zepchnie!

Nie znając nikogo, nie skarżył się przed nikim. Matce nie pisał nic — „Pocóż truć biedną kobietę?“ — pytał sam siebie i dodawał w myśli: Widocznie największą nędzę znieść muszę, zanim dojdę do czegoś.

Był to piątek przed Bożem Narodzeniem. Ponury, mglisty dzień, bez odrobiny promieni słonecznych, rozpoczął się porankiem szarym, w oświetleniu którego zacierały się najostrzejsze kontury.

Staś usłyszał na korytarzu jakiś niezwykły ruch, stąpanie ciężko podkutych butów, wreszcie głos Gärtnerowej: „Adieu, Herr Post-praktikant“ i zamknięcie drzwi. To jeden z lokatorów wyjeżdżał na święta, a posługacz znosił mu kuferek.

Staś westchnął. Wtem usłyszał na korytarzu dosyć głośną rozmowę, która zwróciła jego uwagę.

Drugi lokator, student, mówił do Gärtnerowej: „Ja wyjeżdżam dziś wieczorem. Proszę dać baczenie na moje rzeczy. Wszak pani zostaje w domu na święta?“

„A no, muszę chyba zostać, to już taki mój psi obowiązek — rzekła zgryźliwym głosem Gärtnerowa, — Panienka, co u mnie mieszka, wyjechała już, pan wyjedzie, praktykant wyjeżdża, i jabym też chętnie do siostry na prowincyę pojechała. Ale cóż — mówiła zniżywszy głos — ze względu na tego... nie mogę“.

„To on nie wyjeżdża?“ — pytał student.

„On? — zaśmiała się Gärtnerowa. — Z łaski mu dałam tę komórkę na mieszkanie, bo pewnie mi nie zapłaci. Skądżeby miał pieniądze...“

„A to ma pani racyę. Ja rower zostawiam tutaj, i nie chciałbym, aby przepadł Nie radziłbym zostawiać mieszkania i rzeczy współlokatorów na łasce tego tam jakiegoś żebraka“.

Rozmowa ucichła.

Staś stał nieruchomo przy drzwiach. Słyszał każde słowo Krew cała zbiegła mu do głowy i jak młotem uderzała w skroniach.

Wreszcie rzucił się na swe posłanie, tłumiąc gwałtowne łkanie w sobie.

Po chwili Staś pakował swoje rzeczy do małej ręcznej walizeczki, z którą przyjechał do Berlina. Miał jedną parę spodni zapasowych, dwie, czy trzy książki i trochę bielizny.

Gdy Gärtnerowa weszła z kawą, Staś właśnie ściskał rzemykiem walizkę.

„Co to? Pan jedzie na święta i — zapytała go gospodyni.

„Jadę“ — odrzekł Staś.

„To mnie bardzo cieszy, bo i ja będę swobodniejsza — odrzekła Gärtnerowa — ale pan pewnie zapłaci teraz rachunek za czas do dzisiaj“.

„Naturalnie“ — rzekł Staś i wyjął portmonetkę.

Rachunek wynosił osiem marek z fenigami. Staś zapłacił, wziął walizeczkę, kawy nie dotknął i wyszedł, nie powiedziawszy gospodyni ani słowa.

Stanął na ulicy przed domem, bezradny. Szedł potem błędnym krokiem czas

jakiś, dopóki nie zaczęła mu ciężyć walizeczka.

„Sprzedam to wszystko“ — powiedział sobie i wstąpił do pierwszego lepszego sklepu ze starzyzną. Żyd podejrzliwem go obrzucił spojrzeniem. „A czy to pańskie własne?“ — zapytał go z nienacka.

Staś, nic nie odpowiadając, wyciągnął rękę, aby wziąć walizeczkę i iść dalej, lecz żyd zaczął się sumitować: „Widzi pan, — mówił — na świecie to już tak jest: że kto nie ma pieniędzy, to każdy w nim podejrzewa albo złodzieja, albo takiego, co złodziejem będzie. Ale jeżeli ma pieniądze, to choćby były kradzione, każdy mu się kłania“.

„A pan nie ma pieniędzy, prawda mój młody panie?“ — dokończył żyd.

Stasiowi stanęły łzy w oczach. Żyd mu w milczeniu położył markę, potem dołożył jeszcze dwadzieścia pięć fenigów, Staś w milczeniu je zgarnął i wyszedł.

Szedł przed siebie bez celu, bez planu. Błądził po mieście parę godzin, przyglądał się obojętnie ruchowi fali ludzkiej po głównych ulicach stolicy, aż wreszcie około południa stanął przy moście „Weidendammer-Brücke“ i po drugiej stro nie mostu zobaczył elegancką restauracyę.

Porwała go nieprzeparta chęć ogrzania się, zjedzenia dużo i dobrze. Z wzro kiem, utkwionym w połyskujący złocisty szyld restauracyjny, szedł po moście nad mętnymi nurtami Sprewy Zagłębił rękę do kieszeni i znalazł tam przeszło dwie marki.

(Dokończenie nastąpi).

Kazimierz Wróblewski.

Młodość Kornela Ujejskiego.

(1823—1843)

(Ciąg dalszy)

SZKIC LITERACKI

Organem literackim, skupiającym te siły, dążące uporczywie do jakiegoś wspólnego ogniska pracy, stał się Dziennik mód paryskich, wydawany od r. 1840. Dziennik wychodził początkowo co dni czternaście (później co tydzień) w objętości małego arkusika druku.

Mody paryskie, starannie w każdym numerze illustrowane, były tu tylko dodatkiem, z jednej strony ułatwiającym uspienie czujności cenzury, a z drugiej jednającym pewne koła czytelników, zupełnie obojętne dla wszelkich spraw literackich. Do części literackiej Kulczycki się nie mieszał, pozostawiając ją początkowo Żegocie Paulemu, później Dobrzańskiemu i Szajnosze. Jednakże w początkach filarami pisma byli Borkowscy, zwłaszcza Józef, którego śmierć przedwczesna była ogromną szkodą młodego pisma. Wszyscy niemal pisarze galicyjscy, którzy później zasłynęli w literaturze, rozpoczynali od mniej, lub więcej skromnych debiutów w Dzienniku mód paryskich.

Ale myliłby się, ktoby sądził, że na sztandarze Dziennika mód i jego współpracowników, widniały hasła jakiejś reformy literackiej, na modłę tej, jaką zapoczęła tak świetnie o dwadzieścia lat wcześniej młodzież uniwersytetu wileńskiego z wieszczem literackim na czele. Nad Pełtwią nie padały nowe hasła, nie budowały nowych ołtarzy i burzyły dawnych, chodziło tylko o ruch, o życie, o wyrwanie społeczeństwa ze stanu martwoty umysłowej, tak długiej, tak uparcie trwałej, że poczynała już grozić nietylko zupełną niemocą, ale zanikiem i śmiercią.

Przez znajomość z Borkowskimi, wynikną może ze stosunków sąsiedzkich na wsi, Kornel Ujejski, osiadłszy z rodzicami we Lwowie, wszedł odrazu w to koło literackie, gotowe do serdecznego przyjęcia każdego, w kim się przebijał jakikolwiek błysk talentu i w kim się pracownik nowy zapowiadał.

Pod wpływem tego otoczenia Kornel Ujejski zabrał się do pracy literackiej wcześnie, bo w r. 1839, nie licząc, rozumie się, owych próbek dziecięcych, o których była mowa wyżej.

Rzucił się do poezyi, a rozpoczął jej uprawianie od sonetu, pomnażając sobą liczny zastęp naśladowców Mickiewicza w Galicyi.[1])

Pobudką do pisania była dla Ujeskiego owa niestrudzona rodzicielka poetów, miłość!

W sonecie, który, zdaje się, jest najwcześniejszy, zapisany w imionniku M...[2]), jednego z tych aniołów, których liczba, jak się później okaże, była dość znaczna, poeta woła:

Lat szesnaście, mój Boże, a już tracę wiarę...

Znowu w innym, p. t. „Wiosna“, przeciwstawiając swój nastrój duchowy naturze wiosennej, powiada:

Mnie wiosny nie ma! u mnie lodów skały,
Nie roznieca ich nigdy mej piersi pożary,
Co ze źródeł zaświecia swoje ognie brały.

Wiersze te, jak widzimy, niezbyt szczęśliwe, pozwalają nam odtworzyć sobie usposobienie Ujejskiego w tych latach, w których były pisane. Znajdujemy w nich *sui generis* byronizm, domorosły, przejęty z sonetów Mickiewiczowskich i objawiający się bardziej pozą autora, niż treścią utworu.

Sonetów Ujejskiego, pisanych w latach 1839—1840 jest sześć[3]) Wpływ Mickiewicza zarówno sonetów erotycznych, jak i krymskich odbił się dość wyraźnie, tak w pomysłach ogólnych, jak i w wielu wyrażeniach. Budzenie się dziecięcia w sonecie III. przypomina sen marzącej o szczęściu narzeczonej młodej w sonecie II. krymskim. W tym samym sonecie „ręką matki skwiecona kołyska“ nasuwa na myśl ową Laurę z sonetu Mickiewiczowskiego (VIII.) „do Niemna“, która „lubiła włos zaplatać i zakwiecać skronie“. Podczas „nocy zimowej“ w sonecie V. księżyc zupełnie tak „lampą świeci“, jakby chciał naśladować „lampę Akermanu“.[4])

Wartości rzeczywistej pierwiastkowe te poezye Ujejskiego nie posiadają żadnej. Sztuczność, przesada, brak myśli głębszej, obrazowanie słabe, a przedewszystkiem liczne i rażące błędy językowe, oto ich cechy. Na jedno tylko trzeba zwrócić uwagę co przemawia na korzyść autora i co mogło być zapowiedzią rozwoju jego talentu, mianowicie na opanowanie trudnej formy sonetu, która u Ujejskiego jest wszędzie poprawna, rymowanie gładkie, a podział sonetu na dwie części utrzymany umiejętnie. Znać szesnastoletni „wieszcz“, jak Ujejski nazwał się przesadnie w sonecie IV., rozczytał się należycie w sonetach Mickiewiczowskich.

Z r. 1841 posiadamy cały szereg dowodów pracy Ujejskiego na niwie poezyi.

Więc najpierw wiersz p. n. „Tyś dziecko“ który ukazał się w „Kwiatach bez woni“ (str. 129—131), a w późniejszych redakcyach uległ bardzo znacznym zmianom.

Zdaje się, że otoczenie musiało dziwić się zbyt szybkiemu rozwojowi umysłowemu Kornela, może nawet podejrzywało szczerość jego powagi, znanej nam już z sonetów, gdyż poeta skarży się:

„Tyś dziecko!“ — tak szydzą i młodzi i starzy,
Szaleni, co wieku szukacie na twarzy,
Spojrzyjcie w to oko, co żarem tak płonie,
W to serce, co młotem wybija w mem łonie,
I okiem chirurga zajrzyjcie do czaszki
Skąd dawno uciekły swawole igraszki,
A gdzie już niejedna myśl szczytna choć smętna,
Z łoskotem i blaskiem piorunu tam wpadła,
I wichrząc, wyryła niezatarte piętna“.

Zaś kilkanaście wierszy niżej powiada:

Gdy z braćmi starszymi chcę myślą w zawody
Pobiegać i dzielić ich cele i trudy,
To oni wołają: tyś dziecko! za młody.

Zaczem przestrzega ich:

O, brzozy wysmukłe, nie gardzcie dębczakiem,
Co ledwie gałązką podniósł się od ziemi,
W nim zaród wielkości rozpostarł się znakiem,
On nieba dosięgnie konary wielkiemi.
Śród burzy, gdy sarkać będziecie na losy,
Jak słabe niewiasty, rozpuściwszy włosy,
On wtedy wytęży żelazne swe ramię,

[1]) Por. Dz. W. Bruchnalski: Sonety Mickiewicza w literaturze galicyjskiej w latach 1827—1828. Pamiętnik tow. lit. im. Mick. VI. 184—214.
[2]) Kwiaty bez woni.
[3]) Kwiaty bez woni, str. 5—10.
[4]) Stepy akermańskie. Sonet I. krymski.

Otoczy się wolą i siłą, jak zbroją,
Że burze mu w dzikiej walce nie dostoją,
A grom go nie porwie, chyba go połamie.
Śród skwarnej podróży bratymcze wędrowce,
Omdleni obłędem, jak spłoszone owce,
O! nieraz znużeni w jego cieniu siedą,
I ducha tchem wolnym poić, krzepić będą,
A on im na strunach zielonych swych liści
Przegrywać będzie starodawne dumy,
A kto się z nich wsłucha w jego święte szumy,
Wyniesie myśl wielką, co kiedyś się ziści!

Uderza w tych słowach ogromna, choć wyrażona wierszem dość prymitywnym, wiara Ujejskiego w przyszłość swoją, przyszłość poety. Być może, że było w tej wierze nieco przesady i zarozumiałości, która spółczesnych mogła razić, ale było także, co nam, już dziś, gdy działalność poety jest skończona, powiedzieć wolno, było także poczucie siły, które nie zawiodło ani poety, ani jego czytelników. W tym samym wierszu, jakby na dowód swojej dojrzałości ówczesnej, (miał wtedy lat ośmnaście) Ujejski opowiada dzieje jednej ze swoich miłości:

Pamiętam, rok temu, kobietę kochałem.
Nie młodą, a piękną, dumną a bogata,
. . . .
. . . . . miłość dziewiczą tak czystą i świętą,
Jak dziecka za matką wtórzone pacierze
U tronu jej kolan składałem w ofierze
A tyś nią wzgardziła . . . .

Dążąc widocznie do równowagi uczucia i słowa, poeta szukał widocznie w rzeczywistości jakiegoś uzasadnienia dla swego smutnego nastroju. Zawiedziona miłość była uzasadnieniem wystarczającem.

Do roku 1841 odnoszę to, co poeta mówi w „listach z pod Lwowa", wyrzucając Polowi niechęć do Słowackiego. Czytamy tam: „Nazwał on (Pol) mnie kiedyś Benjaminem, wie, żem miłości pełen. On sobie przypomni, że te usta, które go potępią, kładły się w rozczuleniu po synowku na rękę jego, dziękując za słowo piękne i wzniosłe[1]). W innem zaś miejscu „listów" zapisuje takie wspomnienie: „Kiedym, jako młody chłopiec, poznał po raz pierwszy Wincentego Pola, przyszedłszy do niego z czcią i miłością, odszedłem smutny i zrażony.

Ja natenczas szalałem za nieznajomym mi jeszcze osobiście Juliuszem; po całych dniach tułałem się po lasach z jedną z płomiennych książek jego; więc przy poznaniu się z panem Wincentym Polem jedno z pierwszych słów moich było o Juliuszu, a na to pan Pol: „Naród nie lubi negacyi, nie przyzna się nigdy do niej[2]).

Z r. 1841 posiadamy Ujejskiego „Monolog Ankarströma,[3]) przypominający zaraz w pierwszem czytaniu monolog Kordyana. Stąd wniosek jeden, że ową płomienną książką był Kordyan,[4]) i drugi, że na r. 1841 przypada zbliżenie się Ujejskiego do Wincentego Pola, w którego poezyach przyszły autor Skarg musiał się wówczas rozczytywać. Uznanie Pola, mimo owego rozdźwięku, zapisanego przez Ujejskiego w wiele lat później, było niezawodnie niemałą zachętą dla młodego poety, któremu musiała imponować aureola powagi, otaczająca autora pieśni Janusza.

Ale wróćmy do „Monologu Ankarströma". Pozostał on fragmentem dramatu tak małym (84 wierszy), że nie można mówić o możliwości rekonstrukcyi treści utworu, choćby tylko w zarysach najogólniejszych. Pokrewieństwo Ankarströma z Kordyanem bardzo widocene. Mamy tę samą scenerye — tu „James Park w Lonnie — wieczór"[1]) tam „ogród przypierający do zamku królewskiego. — Noc."

Kordyan powiada:[2])

Chciałbym b l i z n ę K a i n a zmazać z m e g o
[c z o ł a,
Pierwszy wzrok ludzi czoło samobójcy bada...

Ankarström mówi:

Choć na chwilę cię zgłuszę, ty zemsty zarodzie
Co się tu w głowie mojej wkorzeniłeś rakiem,
I c z o ł o napiętnować chcesz K a i n a z n a-
[k i e m i t. d.

Ankarström, dumający przed oknami zamku królewskiego w chwili, gdy bal odbywa się w jego salach, rzuca tak samo takiesame uwagi o ludziach, jak Kordyan patrzący na pałace i wieże Westminsteru.

Monolog Ankarströma jest dowodem rozszerzania się zakresu twórczości poetyckiej Ujejskiego. Poczyna on miewać pomysły dramatyczne, a wybiera sobie temat zupełnie odpowiedni, gdyż postać Jana Jakóba Ankarströma, zabójcy króla szwedzkiego Gustawa III., ma w sobie rzeczywiście dużo pierwiastka dramatycznego, któryby poeta naprawdę mógł wyzyskać. Utwory Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego: Wallenrod, Kordyan, Irydyon, w których zemsta była pobudką działania bohaterów, kazały także Ujejskiemu szukać bohaterów w Ankarströmie, chwytającym z zemsty za broń morderczą.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) Listy z pod Lwowa. Pierwsze trzy słowa Kornela Ujejskiego. Przedruk z „Dziennika literackiego". Lipsk. W Komisie księgarni Reina. 1861. str. 39.
[2]) Listy str. 96.
[3]) Zwiędłe liście. Lwów 1849. str. 1—4.
[4]) Por. Kornel Ujejski i jego poezya. Przez Józefa Treliaka. Kraków 1893 str. 9.

[1]) Poezye Słowackiego wyd. Biegeleisena. Lwów 1894. II. 39
[2]) j. w. II. 40.

R. Jungiewicz.

Widzenie.

Spłynęła ku mnie na jasnej tęczy,
Siejąc w mem sercu szczęścia siew błogi,
I zapomniałem wszystko, co dręczy,
Nie czułem cierni, kolących nogi —

Zdala od życia walki i trwogi,
W cudownych marzeń sieci pajęczej,
Dążyłem za nią w świątyni progi,
Gdzie wiekuista pieśń szczęścia dźwięczy.

I byłem zdolny kochać i wierzyć,
I z każdym wrogiem gotów się mierzyć,
I nowe prawa dyktować światu!

Wtem — ona znikła... i w mgnieniu oka
Wszystko pokryła ciemność głęboka
I pozostał się jęk — z poematu...

Galicyjskie Towarzystwo ochrony zwierząt

z siedzibą we Lwowie, w 25-tym roku założenia.

Zniesienie dawnego systemu germanizacyjnego po wojnie austryacko-pruskiej r. 1866 pomyślne wydało owoce dla Galicyi, gdzie w lot zaczęły powstawać rozmaite stowarzyszenia dla celów naukowych, społecznych i ekonomicznych. Wśród tej gorączkowej pracy odradzającego się kraju, przyszła kolej na założenie Towarzystwa ochrony zwierząt, stowarzyszenia niepozbawionego obok humanitarnych zadań, ekonomicznego znaczenia dla podupadłej, ubogiej miejskiej i wiejskiej ludności Galicyi.

W dniu 28 stycznia r. 1876 zebrało się za inicyatywą śp. dra Eugeniusza Janoty, profesora Uniwersytetu we Lwowie, znakomitego przyrodnika i opiekuna świata zwierzęcego, liczne grono osobistości i ułożyło zakres statutów stowarzyszenia, zatwierdzonego następnie przez galicyjskie namiestnictwo w dniu 4 marca 1876.

Myśl opieki nad zwierzętami nie była wprawdzie nową, gdyż już przy końcu



ALEKSANDER MARESZ,
wice-prezes gal. Tow. ochrony zwierząt.

XVIII wieku istniały np. przepisy ochrony bobrów w Rodatyczach obok Lwowa, a w roku 1854 sformułowało krakowskie Towarzystwo rolnicze na wezwanie rządu odpowiednie wnioski, dotyczące ochrony ptaków, poczem w 20 lat później wyszły w tej mierze odpowiednie przepisy, gdyż dalej ś. p. Maksymilian Nowicki, profesor uniwersytetu krakowskiego poruszył myśl ochrony kozic i świstaków w Tatrach, tudzież łososi i pstrągów w Dunajcu, spowodował w tym kierunku uchwały sejmowe, silnie poparty petycyą i przemówieniem posła F. Pławickiego.

Towarzystwo przyrodników polskich im. Kopernika we Lwowie ujęło się znowu wobec magistratu miasta Lwowa za końmi, nad któremi niejednokrotnie znęcać się zwykli nieludzcy woźnicy, lecz właściwa a intenzywna akcya we wszystkich kierunkach wskazanych stosunkami datuje się dopiero od czasu założenia galicyjskiego Towarzystwa ochrony zwierząt z siedzibą w stolicy kraju, Lwowie.

Obok dra Janoty stanęli Feliks z Pławnic Pławicki, właściciel ziemski, poseł do Sejmu z ziemi nowotarskiej i pierwszy założyciel Towarzystwa tatrzańskiego w Zakopanem, Łucyan Tatomir, dyrektor seminaryum nauczycielskiego, dr. Władysław



FELIKS z Pławnic PŁAWICKI,
prezes gal. Tow. ochrony zwierząt.

Zajączkowski, profesor politechniki, ekscelencya Włodzimierz hrabia Dzieduszycki, znany przyrodnik i założyciel muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, Władysław Tyniecki, dyrektor szkoły lasowej, dr. Zygmunt Romer, dr. Izydor Szaraniewicz i dr. Wawrzyniec Żmurko, profesor uniwersytetu, Piotr Gross, dyrektor asekuracyi krakowskiej, Władysław Zontak, kustosz muzem Dzieduszyckich, Władysław Gubrynowicz, księgarz, w końcu Mikołaj



Dr. JÓZEF LIMBACH,
sekretarz gal. Tow. och. zw. i red. „Miesięcznika".

Rybowski, dyrektor szkół ludowych i Jan Schneider, c. k. starszy radca skarbowy.

W pierwszym zaraz roku istnienia swego rozwinęło Towarzystwo energiczną działalność, której wynikiem były rozmaite odezwy i rozporządzenia, wydawane przez władze państwowe i autonomiczne. Prywatne nawet instytucye, do jakich należały w owym czasie jeszcze koleje żelazne, pospieszyły z pomocą Towarzystwu, wydając odpowiednie okólniki, konsystorze obu obrządków zalecały księżom wspierać słowem i czynem cele instytucyi, a krajowa Rada szkolna zobowiązała dyrekcye poszczególnych zakładów do odpowiedniego pouczania młodzi szkolnej, karania wszelkiej swawoli i nieludzkich wybryków w obchodzeniu się z zwierzętami. Za staraniem Towarzystwa zarządził magistrat miasta Lwowa dla lepszej kontroli numerowanie wszystkich wozów ciężarowych, poczem poruszono sprawę założenia szkoły kucia koni i urządzenie szpitaliku dla chorych zwierząt. Galicyjski Wydział krajowy wezwał znów wydziały powiatowe do pouczania gmin w kierunku przestrzegania ustaw o dręczeniu zwierząt.

Gdy zaś przed laty przedsiębiorczy Włoch przywiózł do Lwowa 1000 gołębi,



BRONISŁAW GUSTAWICZ,
sekretarz krakowskiego Tow. och. zw.

by urządzić na torze wyścigowym sport strzelania do gołębi a la Monaco. udał się ówczesny wiceprezes Pławicki z sekretarzem Towarzystwa Lewandowskim do namiestnika Galicyi eksc. Filipa Zaleskiego, a okazał kilka sztuk postrzelonych a jeszcze żywych gołębi. Zasystowano krwawą rozrywkę, a Włochowi kazano wyjechać ze Lwowa.

Rychło też znalazło Towarzystwo sposobność do skierowania swej akcyi przeciw barbarzyńskim rytualnym rzeźnikom (szechterom) i wywołało enuncyacyę lwowskiego rabina, który wystąpił ostro przeciw nieprawidłowemu postępowaniu współwyznawców.

Od całego szeregu lat toczy się walka Towarzystwa z dyrekcyą tramwaju konnego we Lwowie o zaprzęgi nędznych koni, o przepełnienie wozów i używanie niedostatecznej ilości koni do zaprzęgu po wyżej położonych ulicach miasta.

Przy poparciu ze strony magistratu miasta i c. k. dyrekcyi policyi odbył wy-

dział Towarzystwa niejednokrotnie rewizyę stajen zakładu tramwajowego i przeprowadził eliminowanie starych i zniszczonych koni.

Piętnowanie bydła na rogach zamiast na ciele, przykrywanie zimową porą koni



ROMAN CISZEWSKI,
zastępca sekret. członek wydz. gal. Tow. och. zw.

derkami, nakaz zdejmowania wędzideł przy karmieniu zaprzężonych koni, żywienie ptaszków w porze zimowej, coroczne rozdawanie nagród straży miejskiej i policyjnej — oto dalsze zasługi Towarzystwa, które niepozbawione było w ciągu swego ćwierćwiekowego istnienia rozmaitych ciężkich przejść i przykrości.

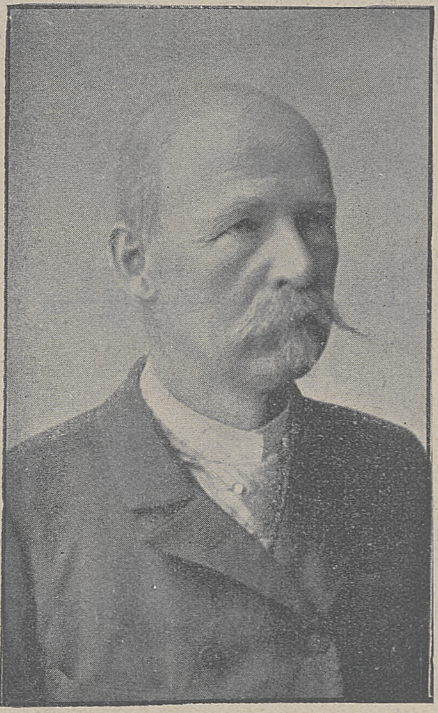
Krytyczniejszy przełom Towarzystwa przypada na rok 1893, tj. na rok zgonu



JÓZEF BIAŁYNIA CHOŁODECKI
(Waleniy Ćwik),
członek wydziału gal. Tow. ochrony zwierząt.

długoletniego sekretarza Towarzystwa Feliksa Lewandowskiego. Prawdziwy ten przyjaciel świata zwierzęcego poświęcał przy boku ówczesnego prezesa Augusta barona Romaszkana, c. k. szambelana dworu, cały swój czas wolny od obowiązków zawodu celom Towarzystwa, toż z chwilą śmierci jego runął jeden z głównych filarów tej instytucyi. Na szczęście chwycił ster w silne dłonie nowy prezes wspomniany powyżej poseł Feliks z Pławnic Pławicki i przy pomocy sekretarza prof. dra Józefa Limbacha przeprowadził z jednej strony odpowiednie zmiany w statutach, z drugiej należyty rozdział pracy, a co najgłówniejsze, zaprowadził równowagę zachwianego budżetu, który obecnie wykazuje corocznie pewną nadwyżkę, pomimo nader szczupłych dochodów, czerpanych wyłącznie prawie z drobnych wkładek członków po 2 korony 40 halerzy rocznie i pomimo wydawnictwa „Miesięcznika Towarzystwa ochrony zwierząt“ dla członków bezpłatnie.

Podczas wystawy krajowej w r. 1894, która skupiła całą Galicyę na uroczem wzgórzu parku Kilińskiego, niepozostało po za innemi instytucyami, galicyjskie Towarzystwo ochrony zwierząt. W pięknie udekorowanym pawilonie, zajmowały uwagę widzów najrozmaitsze rekwizyta i po-



MIKOŁAJ RYBOWSKI,
kierownik szkoły c. k. kolei państwowych
członek wydz. gal. Tow. och. zw.

stępowe przyrządy mające za zadanie łagodzenie cierpień bydła w rzeźniach, ulgi dla zwierząt pociągowych, ułatwianie operacyi weterynaryjnych i t. p. przedmioty.

Cesarz Franciszek Józef I. zwiedzając wystawę w asystencyi namiestnika Galicyi, Kazimierza hr. Badeniego, dłuższy czas poświęcił pawilonowi Towarzystwa ochrony zwierząt, oglądał z nie małem zajęciem wystawione poszczególne przedmioty, słuchał objaśnień prezesa Pławickiego i nie szczędził słów uznania dla starań i zabiegów Towarzystwa.

Uznanie to niepozostało bez donośnego wpływu na dalszy rozwój Towarzystwa, które pod protektoratem Ekse Eustachego ks. Sanguszki, b. marszałka krajowego, później namiestnika Galicyi, liczy obecnie około 600 członków, pięć filii: w Rzeszowie, Nowym Sączu, Gorlicach, Jaśle i Kołomyi, tudzież przeszło 30 delegatów w rozmaitych okolicach kraju.

Organ instytucyi: „Miesięcznik galic. Towarzystwa ochrony zwierząt“, obecnie regagowany przez sekretarza Tow. dra Józefa Limbacha, bywa rozsełany bezpłatnie w ilości 1000 egzemplarzy, pomiędzy członków i innych adresatów, niemniej dla wielu szkół ludowych — dobiega już dziś okresu lat 25.

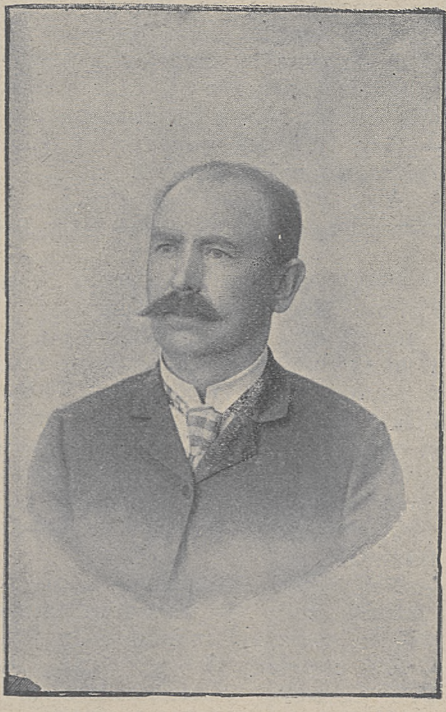
Walne zgromadzenie zwoływane regularnie w myśl statutów w miesiącu



ADOLF MUSSIL,
skarbnik i członek wydz. gal. Tow. och. zw.

marcu, bywa połączone ze stosownym odczytem naukowym, wyborami Wydziału i udzielaniem nagród chętnym stójkowym.

Najnowszemi sprawami, których uregulowaniem zajmuje się Towarzystwo, są kwestye dotyczące sprzedaży ryb i raków z poszanowaniem czasu tarła, dalej zaprowadzenie odpowiedniej uprzęży końskiej i używanie normalnych kojców, przy eksporcie drobiu, który całemi wagonami wy-



Prof. FRANCISZEK POHORECKI,
członek wydziału gal. Tow. ochrony zwierząt.

wożony przez żydowskich spekulantów za granicę, zwłaszcza do Niemiec, przychodzi na miejsce przeznaczenia w wielkiej części wynędzniały, zbiedzony lub martwy, psując tem samem na obcych rynkach dobrą opinię producentów.

Wydział Towarzystwa od lat kilku mniej więcej mimo corocznych wyborów: Prezes Feliks z Pławnic Pławicki, I-szy zastępca Aleksander Maresch, dyrektor urzędu poczt i telegrafów, II. zastępca dr. Henryk Max, adwokat krajowy, sekretarz dr. Józef Limbach, profesor gimnazyalny, zastępca Roman Ciszewski, starszy nauczyciel, skarbnik Mr. ph. Adolf Mussil, chemik sądowy, wydziałowi: pani Teresa Witowska, żona st. inżyniera, Józef Białynia Chołodecki, radca pocztowy i literat (pseud. Walenty Cwik), dalej Stanisław Królikowski, profesor weterynaryi, Mikołaj Rybowski, dyrektor szkoły ludowej, Franciszek Pohorecki, profesor szkoły realnej, zastępcy wydziałowych: panna Antonina Deymówna, ksiądz Józef Lehman, Julian Smalawski, urzędnik krak. Asekuracyi i Walery Kaszyński urzędnik Kasy oszczędności, wkońcu członkowie komisyi kontrolującej: Lubin Prus Więckowski i Adolf Baumgardten.

W bezpośrednim związku z galic. Towarzystwem ochrony zwierząt stoi takie same towarzystwo krakowskie założone w r. 1887 przez prof. Bronisława Gustowicza. Grunt nie był tam w tej mierze podatny, toż powołanie do życia instytucyi, utrzymanie jej w obec przeciwnych prądów wymagało wielkiej pracy i poświęcenia. Podołał zadaniu prof. Gustowicz, a liczne broszury, ulotne pisma, doborowe artykuły w dziennikach i w „Opiekunie zwierząt“ przez dłuższy czas organie tego towarzystwa, świadczyły o niezmordowanej płodności i dobrych chęciach gorliwego autora.

Obojętność ogółu zmroziła ostatecznie gorące zabiegi jednostki, toż chcąc ratować upadające towarzystwo, połączono je z galicyjskiem Towarzystwem ochrony zwierząt i przyjęto tegoż „Miesięcznik“ także jako własny organ.

Kamil Pert.

M'GERBI.

(Dokończenie).

Przełożyła z francuskiego Bronisława Kowalska.

Wtem zatrzymał się zdziwiony, ujrzał bowiem po za krzakiem leżącą na ziemi postać kobiecą, ubraną w białe szaty, z klejnotami na rękach i nogach. Kobieta oparła się na łokciu i śmiało spojrzała w twarz nieznajomego. Rysy twarzy miała okrągłe, cerę jasną, matową, bielszą jeszcze wskutek użycia kosmetyku: Powitała oficera czystą francuzczyzną:

— Czy ty jesteś poruczkiem Brun?... M'Gerbi często mówi o tobie.

— A ty, czy jesteś jego żoną?

Uśmiechnęła się, ukazując białe, ostre zęby.

— Pojął mnie za żonę przed dwoma tygodniami... Nazywam się Aisza.

I ruchem ręki zachęcała Lucyana, aby usiadł obok niej, ale Lucyan nie korzystał z zaproszenia W tej chwili ukazał się M'Gerbi. Błyskawica gniewu strzeliła z jego oczu, gdy ujrzał kobietę z odsłoniętą twarzą, leżącą prawie u nóg oficera. Kopnięciem zmusił ją do powstania i obrzucił gniewnemi słowy. Aisza uciekła zalana łzami.

— Nie jesteś bardzo uprzejmy dla swej młodej żony — żartował Lucyan.

M'Gerbi wzruszył ramionami.

— Źle zrobiłem, biorąc ją za żonę; ona była tancerką w Konstantynie... to kobieta bezwstydna.. — wybuchnął.

Lucyan uśmiechnął się, ubawiony jego oburzeniem: chociaż w duchu podzielał zdanie swego przyjaciela.

* * *

Pewnego wieczora blizko północy, mała lampka oświetlała stół, przy którym Lucyan pisał. Łagodne powietrze wieczorne wpływało przez otwarte okno, noc była cicha i ciemna. Na ścianach wybielonych wapnem, Lucyan porozwieszał broń rozmaitą i kilka dywanów o wzorzystych deseniach. Łóżko okrywała adamaszkowa kapa zielona w delikatne złote arabeski; rogoże zaścielały podłogę.

Jakaś szara postać ukazała się w oknie i wsunęła się bez szelestu do pokoju. Lucyan, podniósłszy głowę, ze zdumieniem ujrzał przed sobą kobietę, która zwolna odrzuciła burnus i zasłonę i ukazała się w białej szacie z mnóstwem złotych i srebrnych klejnotów, wysadzanych turkusami. Była to Aisza.

Pochyliła się i obnażonemi ramionami otoczyła szyję młodzieńca.

— Nie mów nic — szepnęła; — M'Gerbi śpi tam...

Lucyan zadrżał, usłyszawszy imię przyjaciela. Zdawało mu się, że widzi wyniosłą postać Araba, jego pełne ufności spojrzenie, i że słyszy tkliwy głos, mówiący doń:

— Kocham cię, jesteś moim bratem...

Bez namysłu odepchnął od siebie młodą kobietę.

— Idź — rzekł, — M'Gerbi jest moim przyjacielem.

Oczy Aiszy błysnęły, jak drogie kamienie, ukryte w jej włosach.

— Odejdź, odejdź! — powtarzał cicho, lecz stanowczo porucznik.

Ona cofała się zwolna.

— Nie, nie — szeptała.

Lucyan podniósł się z krzesła.

— Odejdź, — powtórzył rozkazująco.

Błyskawica gniewu strzeliła z oczu kobiety, wyskoczyła oknem i znikła w cieniach nocy.

Lucyan, podrażniony tą przygodą, zabierał się do snu. Wtem spostrzegł, że zegarek jego przepadł. Strata nie była wielka, ale fakt kradzieży rozgniewał go. Zegarek stanowił dla niego pamiątkę z lat dziecinnych.

— No, po takim wypadku, nie zobaczę już chyba nigdy pięknej Aiszy — powiedział sobie w duchu.

Nazajutrz rano M'Gerbi, wszedłszy do pokoju, zatrzymał się, oglądając przedmiot porzucony na ziemi. Była to zasłona, zapomniana przez Aiszę.

Lucyan zaczerwienił się gwałtownie, a chociaż M'Gerbi o nic nie pytał, czuł konieczność jakiegoś wyjaśnienia.

— To zasłona kobiety, która tu była wczoraj wieczorem... ale ją wyprosiłem za drzwi.

M'Gerbi uśmiechnął się, ukazując białe zęby.

— One nie lubią, aby się z niemi w ten sposób obchodzić — rzekł — ona się zemści, zobaczysz!

* * *

W jakiś czas później, M'Gerbi powrócił po krótkiej nieobecności, zafrasowany jakiś i pochmurny. Lucyan zapomniał już o kaprysie Aiszy i nie zwrócił uwagi na troskę przyjaciela. Zresztą Arab nie skarżył się. Zaproponował nawet Lucyanowi daleką wycieczkę, o której porucznik myślał od chwili przybycia do Ain-Tefia, lecz zajęcia nie pozwalały mu oddalić się na dłużej.

Wyjechali konno wczesnym rankiem; ale że cel podróży był odległy, południe zaskoczyło ich jeszcze na skalistej przestrzeni, spalonej gorącemi promieniami słońca.

Lucyan milczał, znużony, marząc o pustyni, która go nęciła ku sobie swoją niezmierzoną przestrzenią, tumanami piasku, niebezpieczeństwem i cierpieniem.

M'Gerbi milczał także wbrew zwyczajowi, szarpał za uzdę konia i zagłębiał mu w boki ostrogi. Biedne zwierzę, znużone upałem, nie pojmowało powodu tak surowego obejścia.

Wreszcie wśród piasków pustyni ukazała się zielona oaza. Krzaki i drzewa korkowe pochylały się nad strumieniem. Palmy daktylowe powiewały wachlarzowatemi liśćmi.

Młodzi ludzie zsiedli z koni i położyli się na ziemi pod cieniem drzew; konie zajadały trawę nad wodą.

Upłynęły dwie godziny; Lucyan spał snem głębokim, M'Gerbi czuwał wpatrzony w smugi świetlane, przedzierające się przez liście; wreszcie wstał i zbliżył się cicho do swego przyjaciela, wpatrując się w niego pałającym wzrokiem. Zwolna, ostrożnie położył się obok niego, tak, że oddech jego muskał prawie twarz Lucyana; potem wyjął z zanadrza mocny i długi rzemień i skrępował nim mocno ręce porucznika.

Lucyan obudził się.

— Co to jest? — zapytał bezwiednie.

Za całą odpowiedź M'Gerbi zerwał się z ziemi, podniósł Lucyana i innemi rzemieniami zaczął go krępować do drzewa. Oficer krzyknął z trwogą:

— M'Gerbi!..

Wszysko to stało się tak nagle, że umysł Lucyana nie mógł pojąć, że to zdrada, zasadzka... M'Gerbi jednym skokiem rzucił się na niego ze sztyletem w ręku. Ostrze dziewięć razy zagłębił mu w piersi... krew trysnęła strumieniem, głowa młodzieńca opadła martwa, tylko w otwartych oczach skamieniał wyraz straszliwego przerażenia.

Wtedy Arab zatrzymał się, z rozchylonych ust błyskały mu białe, ostre zęby... spojrzeniem wpił się w twarz trupa, jakby szukając w niej śladów życia, aby uderzyć jeszcze...

Nakoniec cisnął sztylet, odwiązał ciało od drzewa i ułożył je ostrożnie na ziemi, potem wpatrywał się w nie długo, w tę smugę krwi, która zastygała powoli... Nagle okropny krzyk wyrwał się z jego piersi, wyciągnął ramiona i runął jak długi na ciało przyjaciela, obejmując je w namiętnym uścisku.

* * *

Nazajutrz rano M'Gerbi siedział przed swoją chatą, patrząc obojętnie na matkę i N'dah, które z trudem dźwigały jakiś ciężar na koniec ogrodu, gdzie czekał już wykopany dół głęboki.

W chwili, gdy miały spuścić ciężar do ziemi, N'dah zamieniła słów kilka ze starą i uchyliła fałdy tkaniny. Wtedy ukazała się im blada, zmieniona twarz Aiszy, otoczona czarnemi włosami, pozlepianemi krwią zastygłą. N'dah uniosła rękę zmarłej i zsunęła jej z palca srebrną obrączkę, którą włożyła na swój palec; potem zasłoniła lica zmarłej i z pomocą starej kobiety pogrzebała dawną swoją towarzyszkę.

Skończywszy tę smutną pracę, przeszły w milczeniu koło M'Gerbi i zniknęły w głębi chaty.

M'Gerbi, zostawszy sam, wyjął z ukrycia stary, srebrny zegarek, który był niegdyś własnością Lucyana i wpatrywał się w niego długo, w milczeniu. Z pod opuszczonych powiek, po śniadej jego twarzy spływały dwa strumienie łez i spadały na przedmiot, który stał się powodem podwójnego morderstwa.

K. Laskowski.

* * *



Jest w każdem sercu pierworodna nuta,
Co w nie spłynęła z mlekiem karmicielki,
I choćby była pierś z granitu kuta,
Choćby ją spiżem pancerzył czyn wielki,
Dla tego dźwięku zawsze kącik miewa,
Nosi go w sobie i w zadumie... śpiewa!

Nosi go w sobie, jak szkaplerz święcony
Dla każdej doli i każdego chleba...
A gdy myśl rzuci wspomnień most zwodzony
Do pierwszych blasków dziecinnego nieba,
Piosenka dzwoni... dzwoni... dziwnie blisko!
Tuż... tuż! jak dawniej grała nad kołyską!

Czujesz jej oddech gorący na duszy
I prośbę rzewną, i dłoń, co cię tuli...
I znów, jak dawniej, oko łzami prószy...
I woła echem: luli, mały! luli!...
I chciałbyś zasnąć na wieki w tem echu,
Jak dawniej, dzieckiem... bez łez i bez grzechu!

I masz na chwilę wizyę odkupienia,
Jakbyś już kielich życia wypił do dna...
Jakby modlitwą były te wspomnienia,
A rozgrzeszeniem nuta pierworodna!
Jakby ci wszystko przemazanem było
Za ten dźwięk jeden, co go serce skryło!

Więc choćby była pierś z granitu kuta,
Choćby ją spiżem pancerzył czyn wielki,
Ilekroć w duszy załka owa nuta —
Wyciągnij ręce, jak do karmicielki,
Jako przed matką uchyl hardej skroni
I proś niech śpiewa! niech wspomnieniem dzwoni!



ALF.

Z krwawych dni.

(KARTKA Z PRZESZŁOŚCI).

Wykonanie planu wojennego powstania w r. 1863, wymagało równoczesnego rozbrojenia załóg moskiewskich w miasteczkach powiatowych, aby potem połączonemi siłami uderzyć na miasta gubernialne i za jednym zamachem zgnieść całą siłę nieprzyjacielską załogującą na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Plan ten zanadto skombinowany, oparty na niepewnych ilościach zebrać się mających sił zbrojnych, wymagał nadto w wykonaniu ludzi nadzwyczajnej energii i odwagi.

Jednym z takich, zdolnych do najwyższego poświęcenia się, nadzwyczajnej odwagi i energii był Ksawery Kolbuszowski, zmarły przed kilku dniami w Zaborzu pod Rawą ruską. W pierwszych dniach powstania, wysłany z obozu z kilkoma towarzyszami na rekonesans, dotarł do Lubaru, gdzie dowiedział się, że magazyny i składy wojskowe otoczone murem, zajęła rota piechoty moskiewskiej i je fortyfikuje. Nie tracąc chwili czasu, ustawił swych podkomendnych w taki sposób, aby przez Moskali zdaleka byli widziani, a sam, nie dobywając szabli, w obliczu załogi moskiewskiej objechał zabudowania i przez nienaprawiany wyłom w murze przeszkoczył koniem na podwórzec, gdzie zdziwionym i przestraszonym Moskalom rozkazał złożyć broń w kozły. Nie czekając nawet skutku swego rozkazu oddał najbliższemu sałdatowi konia do potrzymania i. w towarzystwie oficerów rosyjskich przejrzał składy, z których broń i amunicyę na zarekwirowanych przez Moskali furmankach odwiózł do obozu.

Na trzeci dzień cały oddział pod wodzą Edmunda Różyckiego, wszedł do Lubaru, ale świeże siły moskiewskie obsadziły magazyny i składy, które zmieniły się w fortecę najeżoną tysiącem luf karabinowych.

Jenerał Różycki, obawiając się znacznej straty w ludziach przy wzięciu szturmem ufortyfikowanej miejscowości, wezwał na ochotnika chętnych do wysadzenia głównej bramy. Z szeregów zaczęli się przed front wysuwać jeźdźcy, ale Ksawery Kolbuszowski powstrzymał wszystkich słowami „Pójdziecie wtenczas, gdy ja tam zostanę“. Zsiadł z konia, odpasał szablę i z toporem w ręku prowadząc przed sobą pojmanego Moskala, dotarł pomimo gradu kul do bramy i ją wysadził, przez co umożliwił wejście powstańców i zabranie do niewoli całego batalionu piechoty moskiewskiej.

Dwukrotne wzięcie Lubaru rzuciło tak silny postrach na Moskali, że oddział jenerała Różyckiego mógł stać obozem i organizować się przez cały tydzień w Połonnem, skąd wyszedł uzbrojony i umundurowany jako pierwszy pułk jazdy wołyńskiej, który pierwszy chrzest ognia i żelaza odbył pod Laszkami.

Jako punkt zborny sił narodowych naznaczony był Miropol, gdzie zejść się miały z jazdą Różyckiego oddziały strzelców i kosynierów. W tym celu pułk Różyckiego forsownemi marszami przybył pod Miropol wieczorem i rozłożył się obozem.

Obóz oddalony był od miasta wąską, ale długą na ćwierć mili groblą, wiodącą przez trzęsawiska. O świtaniu rzęsisty ogień rotowy w Miropolu niespodziewanie zapowiedział bitwę, a z pierwszym brzaskiem dnia pagórki po obu stronach grobli najeżyły się lufami strzelców finlandzkich.

Jenerał Różycki rozkazał drugiemu szwadronowi z rozwiniętemi sztandarami sforsować przejście przez groblę, wpaść do miasta, dodać pomocy i otuchy walczącym tam powstańcom.

Wśród gradu kul karabinowych szwadron, jak wicher, wleciał na groble, a chorąży Ksawery Kolbuszowski z szablą na temblaku, ze sztandarem w ręku, pierwszy wpadł na rynek miropolski, ale z szwadronu pozostał tylko wachmistrz. Na całej długości grobli ślad przejścia naznaczony był rannymi, trupami ludzi i koni.

Na rynku miropolskim strzelcy i kosynierzy ginęli pod krzyżowym ogniem Moskali, ukrytych w domach i oszańcowanych na cmentarzu kościelnym. Wśród kurzawy i dymów, świstu kul, jęków rannych i ginących, wykwitł nagle amarantowy sztandar z białym orłem i wskrzesił nadzieję, ożywił ginących.

Z okrzykiem „Do góry głowy!“, „Formuj się“, Ksawery Kolbuszowski po dwakroć tworzył kolumny do szturmu cmentarza, ale za każdym razem wzrastały tylko stosy rannych i trupów, a sztandar kule darły na strzępy.

Odwrót przez śmiertelną groblę i ocalenie sztandaru było cudownym wypadkiem i jak wówczas mówiono: „Bóg tak chciał“, że z pogromu ocalał znak narodowy i ten, któremu go powierzono.

Po krwawej bitwie miropolskiej i rozbiciu oddziałów Cichockiego w lasach zasławskich, wszystkie siły moskiewskie zwróciły się przeciw pułkowi, który ratując się od osaczenia, odbywał ciągłe marsze i kontrmarsze w taki sposób, że po 48 godzin nie zsiadano z koni.

Ludzie i konie stali się podobnemi do widm i jak widma przemykały się wśród lotnych kolumn wojsk rosyjskich.

Pod Salichą pułk natknął się na znaczne siły moskiewskie i bitwa stała się nieuniknioną. Moskale uformowali trzy czworoboki, ziejące ogniem jak legendowe smoki. Na skrzydłach stanęli dragoni i Kozacy.

Pułk w obliczu nieprzyjaciela rozwinął się w linię bojową, a trzy szwadrony otrzymały rozkaz uderzyć na czworoboki, gdy dwa ostatnie trzymały w szachu dragonów i Kozaków.

Wśród piekielnego grzmotu ognia rotowego, z lancami złożonemi do pół ucha końskiego, runęły szwadrony na podobieństwo piorunów w kłęby dymów, zasłaniających Moskali, a gdy dymy uniosły się, nie było już groźnych czworoboków, tylko bezładne tłumy uciekających w popłochu Moskali.

Był to jeden z najświetniejszych ataków jazdy w r. 1863, a zarazem ostatnia bitwa na ziemiach ruskich.

Po tej bitwie dni pułku były już policzone. Dwadzieścia kilka tysięcy Moskali z liczną artyleryą zbliżało się, ścieśniając coraz więcej obwód koła, którego środkiem był pułk Różyckiego. Wobec takiego ogromu sił nieprzyjacielskich, przejście granicy stało się absolutną koniecznością.

W Galicyi z jazdy wołyńskiej utworzono kadry dla czterech regularnych pułków ułanów, które rząd narodowy w przewidywaniu interwencyi obcych mocarstw rozkazał uniformować jako straż przednią połączonych armij. Ksawery Kolbuszowski przedzielony został do sztabu drugiego pułku ułanów, w formacyi którego wziął czynny i wybitny udział. Niestety — nadzieje na obcą interwencyę spełzły na niczem. Uformowane pułki nie weszły na linię bojową. Ksawery Kolbuszowski zwyczajem ojców zamienił szablę na lemiesz, a towarzysze rozprószyli się po szerokim świecie i wkrótce nikogo z nich między żyjącymi nie będzie.



Pogadanka naukowa.

(Śnieg w gospodarstwie natury)

Gdy zimową porą ołowianemi chmurami pokryte niebo zacznie sypać biały puch śnieżny i ziemię otuli białym śniegu kożuszkiem, wtenczas dzieci klaskają w ręce i radują się. Toż te puchy białe dostarczają materyału do kul śnieżnych, do stawiania bałwanów ze śniegu, toż one tworzą podstawę tak wyczekiwanej jazdy sankami. — Dorośli natomiast oceniają śnieg zazwyczaj z jego strony nieprzyjemnej. Po wsiach, mianowicie, gdzie złe drogi, a szczególniej w okolicach górskich, zaspy śnieżne stają się zawadą komunikacyi, nawet koleje żelazne często stają bezbronne wobec tych drobnych miękich płatków śniegu, nie mówiąc nic o niebezpieczeństwach, na jakie narażeni są wędrowcy samotni, zwłaszcza nocą, jakie spustoszenia czyni ten na oko niewinny biały śnieg w stepach, gdy srozy się zamieciąs albo w krajach górzystych, gdzie lawinami zasypuje rokrocznie tę, lub ową osadę, niosąc śmierć i zniszczenie.

Dla wygodnych, niezahartowanych mieszczuchów, śnieg również nie jest przyjemnością, gdyż tając po kilku dniach, tworzy błoto po kostki, a tej szarudze i najlepszy but długo się nie ostoi i przesiąka wilgocią, wywołując katary i kaszle. Cieszą się z niego jedynie robotnicy bez zajęcia, gdyż zamiataniem znajdują zatrudnienie i zarobek.

A jednak śnieg nie jest tylko giezłem, koszulą śmiertelną, która obnażoną z roślinności, martwą matkę naturę litościwie okrywa i kryje jej nagość przed naszemi oczyma; śnieg odgrywa w gospodarstwie natury różną, inną, a pożyteczną rolę. Śnieg utrzymuje ciepło i tak samo, jak np. pierzyna, jest złym przewodnikiem ciepła t. j. zatrzymuje je. Jako taki śnieg otula ziemię przed wniknięciem w nią zimna, a oziminy przed mrozem, a zarazem zaś przeszkadza i broni ciepłu wydobyć się na powierzchnię i wyparować z ziemi, gdzie przez lato się nazbierało. Naturalnie, że powłoka śniegu wstrzymuje także na odwrót rozegrzanie się ziemi, gdy czasem goręcej słońce zimą zaświeci, ale i to w swoim czasie, a takim jest zima jest potrzebne. Tający śnieg wsiąka powoli w ziemię, utrzymuje ją w dni cieplejsze w chłodzie, nie pozwala jej zbytnio się rozgrzać promieniami słońca zimowego, wyrównywa więc temperaturę, a i to jest koniecznem dla roślinności. Wszystko w swoim czasie. Na gruncie, który raz ciepły w nienormalnym czasie, budzi ciepło niepotrzebnie rośliny ze snu zimowego. Gdy słońce przez kilka dni zimą opromieni i rozegrzeje ziemię, wtenczas przedwcześnie, rzec możnaby za młodo, obudza życiodajne popędy rozwoju natury roślinnej, działa sztucznie, jak narkotyk na ludzi, roznamiętnia zamłode kiełki roślinności, drażni je do rozwijania się i rozrastania przedwczesnego, a gdy następnie znowu mroźne dni powrócą, kiełki te zasłabe do oporu, niszczeją w zarodzie. Pod śniegiem natomiast śpią i możnaby sądzić, że śnią te tysiączne roślinki ciepło i spokojnie, jak dzieci na łonie matki, aż wiosna uśmiechnie się do nich i przeznaczy im spełnić rolę, jaką zapisaną mają z porządku rzeczy w wielkiej księdze natury. Bo w naturze wszystko ma swój cel, swoje miejsce, swoje przeznaczenie. Nic nie jest niepotrzebnem, wszystko jest, bo być ma.

Śnieg przyczynia się także do utrzymania potrzebnej wilgoci w ziemi. Z mgły i oparów latem, dostaje się głąb ziemi tylko 7—18 proc. wilgoci, zimą conajmniej 75 procent. Woda śnieżna łatwiej się też miesza z ziemią i daleko głębiej wsiąka, niż woda deszczowa. Dlatego po zimie ubogiej w śniegi, ziemia zbytnio wysycha, staje się niewydatną i następujące lato jest nieurodzajnem. Śnieg po pas, będzie żyto, jak las.

Dalej śnieg jest tworzycielem gleby, czarnoziemu i popiera stan zdrowotności ogólnej. Nasza atmosfera, czyli mówiąc popularnie powietrze, przesyconą jest zawsze, nawet gdy tego nie widzimy, do pewnej wysokości ku niebu niezliczonymi drobnymi pyłkami. O niezmiernej ilości tego prochu i kurzu w powietrzu najlepiej można się przekonać, patrząc, jak padający przez okno do pokoju pęk promieni słonecznych, podnosi je i podrzuca, tworząc formę ukośnego słupa, który się roi tymi pyłkami. Śnieg zaś jest niejako zbieraczem tych odłamków kurzu. Padające powoli, wirujące i trzepiące w powietrzu płatki śniegu, zamiatają w powietrzu te pyły, ciskają je i ściągają na ziemię, czyszczą przez to powietrze lepiej, niż deszcz, chociaż i ostatni w pewnej mierze to czyni. Któż to nie wie i nie umie sobie uprzytomnić, jak miło odetchnąć latem, gdy deszcz rzęsisty poprzednio padał i oczyścił powietrze!

Kurze te i pyłki, zwalone śniegiem, opadają na powierzchnię ziemi; gdy śnieg staje, opad ten miesza się z ziemią, łączy się z nią, porasta niewidzialnie ziemię, nową, cieniutką, rzekłbyś skórką, zrasta się, tworzy nową ziemię.

Nowy ten porost ma zazwyczaj postać szlamu, a zawiera w sobie t. zw. „pył kulturny“, t. j. pył wytworzony przy najróżniejszych czynnościach ludzkich w warsztatach, fabrykach, na placach budowlanych itd. Pył ten zawiera w sobie cząstki mineralnych, roślinnych i zwierzęcych odpadków. Zaliczyć do tego trzeba najrozmaitsze, że tak powiemy, śmiecie natury, jak: próchno zeschłych liści, rozpadłej kory, skruszonego drzewa, pył roślinny, puch grzybów, odłamki żywicy, sproszkowane ciała owadów, delikatne nasionka mchów, dym, kopeć, stare włosy zwierzęce i setne inne nieużytki. Tę to mieszaninę śnieg wbija i wciera niejako w ziemię, odwilż wciąga ją głębiej do wnętrza, pomiędzy grudki, wilgoć przytrzymuje w ziemi przed wiatrem nadając im pewną ciężkość. Rozpuszczona procesem gnicia, zmacerowana, przerobiona niewidzialną ręką natury masa ta wytwarza z roku na rok nową żyzną powłokę ziemi, konieczną do życia i rozwoju roślin, przez nie do rozwoju zwierząt, z roślin i zwierząt do rozwoju ludzi, tak, że w naturze odbywa się wieczny proces przemiany, początku i końca, powstawania i upadku, walki i pokoju, życia i śmierci, z której nowe wyrasta życie, choć pod zamienioną formą. Proces natury to wieczne koło, bez wyjścia i końca. „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz“ — czy słowa te nie zawierają głębokiej prawdy?

Wracając do śniegu, powtórzyć musimy, że powoduje on nowy nasyp ziemi, tworzy t. zw. humus i dlatego rolnik nie myli się, gdy mówi, że „śnieg mierzwi“. Ale śnieg nietylko mierzwi w dolinach ziemię, gdzie powstawanie kurzów jest bezporównania znaczniejsze, śnieg użyźnia także powierzchnię ziemi w górach. Toż i tam rosną zioła i trawy, a jak soczyste być muszą, o tem świadczy wypaszone na nich n. p. bydło szwajcarskie. Czynność śniegu, tworząca nowy pokład humusu, jest niezbędną, gdzie roślinność nie ma wegetować, ale rozwijać się całą pełnią. Gdy latem w górach upłazy się mają, pastwiska zielenią sytemi trawami, wonne zioła i barwne kwiaty zmysły nasze zachwycają, wtenczas zapominamy, że bez głębokiego śniegu zimą, nie byłoby latem takiej sytej, żywej zieleni.

Na górskich pastwiskach znajduje bydło niezrównaną karmę, pasza ta oddziałuje znowu u bydła na jakość mięsa i mleka, mleko na ludzi, tak że pośrednio ludzie winni wdzięczność śniegowi, że odżywił ziemię, użyźnił, dał jej do rozwoju dostateczną wilgoć i siłę. Prawda, że w górach śnieg jeszcze inaczej na żyzność ziemi działa, jak w dolinach. Śnieg zawiera w sobie znaczną ilość powietrza, czem się tłómaczy biały kolor jego. W padającym śniegu powietrze zajmuje około 20 procent miejsca. Przeważnie jednak łączy śnieg kwas węglany, a ten właśnie trawi i stapia niejako skorupę ziemi. Wszelkie góry i skały przez wspomniany proces chemiczny dostarczaią materyału nietylko do tworzenia ziemi, ale i do użyźnienia roślinności, zawierają bowiem w wielkiej części minerały, które przez wodę śniegową, pełną kwasu węglanego wygryzione i spłukane z kamienia, pomieszane i przeistoczone, powiększają dla roślinności konieczne cząstki pożywcze.

Tak więc śnieg jest nietylko ozdobą zimowego krajobrazu, ale co ważniejsze, ważnym czynnikiem w gospodarstwie natury. Nie złorzeczmy mu więc, ale ustąpmy i jemu zimą miejsca, życzmy go sobie nawet, gdyż słusznie powiada ludowe na głębokiej prawdzie oparte przysłowie: „gdzie bez śniegu zima, tam latem żniwa niema“.

Jaki to jednak zawsze zbawienny ten wpływ natury! Im bliżej kto z nią obcuje, tem bardziej pokochać ją musi i nauczyć się od niej wielu cnót, o które tak trudno w gorącej atmosferze sztucznego życia miejskiego. Ona w umysł jego wlewa spokój, powagę i rozwagę, pogardę a raczej obojętność na sztuczne błyskotki zewnętrznej wartości; ona, wskazując mu ład, piękno i harmonią w najdrobniejszych swoich

funkcyach żywotnych, przepełnia jego serce uwielbieniem i miłością dla sprawcy i przyczyny tych nieustannie ponawiających się w naszych oczach cudów, które właśnie dlatego tylko, że się w nieskończoność powtarzają, spowszedniały nam i przestały dla nas być cudami.

Człowiek zatem wtajemniczony w pracę przyrody, człowiek, który na podstawie tej świadomości nauczy się przychodzić w pomoc jej działaniu, nie może chyba być złym zupełnie a już z pewnością pokochać musi ten kawałek ziemi, na którym usiłowania jego wydały owoc pożądany, zrasta się z nim niejako, i z trudnością przychodzi mu się oderwać od tego poczciwego warstatu, który takim wdzięcznym plonem odpłaca się za jego zabiegi.

Henryk Zbierzchowski.

MUZYKA.

I znowu operetka przy wysprzedanem audytoryum wesoła, pełna niespodzianek, baletowych wzruszeń i łatwych, lekkomyślnych upojeń. Cały personal operetki bez wyjątku bierze udział w przedstawieniu, dekorator i pan od kostyumów wysilają się na wielkie, niewidziane dotąd efekta, płoną ognie kolorowe, rzucające na śnieżne trykoty baletniczek miłe i zjawiskowe reflekty, dwie panie udają oficerów, jeden pan kobietę, a na twarzach nawet bardzo poważnych panów z audytoryum, pojawia się rzadki i pożądany gość — uśmiech.

Trudno! Każdy chce się śmiać za swoje pieniądze, „mamy przecież w życiu dość smutków i kłopotów, nie trzeba nam dramatu". „Dwójka wesoła" Ziehrera, posiada przedewszystkiem tą wielką zaletę, że jest rzeczywiście wesoła. Libretto pierwszych dwóch aktów, pełne jest komicznych sytuacyi i szczerego humoru. Muzyka bez pretensyi – czasami rozpaczliwie banalna, posiada jednak kilka melodyjnych aryi i dwa ulubione przez miłośników tanecznych walce. Jeśli dodamy jeszcze, że wykonano u nas tę operetkę w żywem tempie, starannie i w świetnej obsadzie — to zalety te wystarczą aż nadto, aby zapełnić kilka razy audytoryum. Wesołą dwójką była znów para naszych sympatycznych p. Kliszewska i pan Bogucki. Publiczność zawdzięcza im zawsze wiele szczerego śmiechu.

P. Schuppówna prześcignęła sama siebie. Nie wiedzieliśmy, co mamy więcej podziwiać u niej, czy urodę, czy temperament, czy miły głosik, czy wreszcie zgrabny i wdzięczny taniec.

Pani Łopatyńska śpiewała czysto i ładnie, tylko z koloraturą było niezbyt równo. Sądząc po oklaskach, których jej nie szczędzono, wnosimy, że p. Łopatyńska wkrótce stanie się ulubienicą naszej publiczności.

P. Lelewicza, który po dłuższej przerwie wystąpił znów na naszej scenie, powitano burzą oklasków.

Nowy kapelmistrz p. Schulz, dyrygował operetką z wielką werwą, i w należytem tempie.

Ze świata.

Nieprzewidziana przeszkoda. Ostatnie próby z telegrafem bez drutu wykazały, że ciało ludzkie stanowi nieprzezwyciężoną przeszkodę do telegrafowania. Ilekroć w czasie doświadczeń przez przestrzeń pomiędzy jednym aparatem a drugim przeszedł człowiek, tylekroć telegraf przestawał działać. Sądzono, że elektryczność przechodzi przez ciało ludzkie do ziemi i stawiano ludzi na podstawie izolującej, ale i to nic nie pomogło. Widocznie ciało ludzkie chłonie w siebie elektryczność w takiej mierze, że przeprowadzenie prądu staje się wobec tej przeszkody niemożliwe.

*

Konkurs międzynarodowy. W. d. 31 grudnia 1902 r. upływa termin nadsyłania prac na konkurs, imieniem dra Cezara Bressa, ogłoszony przez Akademię królewską w Turynie za największe odkrycie w dziedzinie nauk fizycznych i matematycznych, geologii, geografii i statystyki. Nagroda wynosi 9,600 fr. Do konkursu dopuszczone są prace autorów wszelkich narodowości. Prace, przedstawiane na konkurs, powinny być drukowane.

*

Angielskie koszta wojenne oblicza *Revue des deux mondes*, jak następuje: „Kilku statystyków zapewnia, że wojna kosztowała 75 mil. fr. tygodniowo. Od września wydatki te zmniejszyły się do 50 milionów tygodniowo, gdyż część wojska powróciła do ojczyzny, tak że cena zabitego Boera spadła teraz z 1,250.000 na 900.000 fr. O ile przekroczony zostanie kredyt 1.100 mil., żądany przez sir Michała Hicks Beach'a, nie można jeszcze obecnie powiedzieć. Ciężar to będzie tem większy dla płacących podatki, że już wydatki na cele wojskowe wzrosły niepomiernie w latach ostatnich.

*

P. Helena Modrzejewska zamieszcza w *Dzienniku chicagowskim*, wychodzącym w Chicago w Ameryce, list otwarty, w którym wzywa polaków, zamieszkałych w Chicago, do wzniesienia stałego polskiego teatru. Modrzejewska opierając się na tem, że w Chicago jest 100.000 polaków, twierdzi, iż teatr stały, złożony z artystów, a nie amatorów, ma racyę bytu, a teatr jest „na całym świecie Bożym uważany za jeden z największych czynników ogłady i cywilizacyi."

*

Krzyż Legii honorowej otrzymała dziennikarka paryska, pani Gagneur, za 38-mioletnią działalność w usługach prasy. Liczba kobiet, obdarzonych Legią honorową, wynosi obecnie 56. Dziekanką jest panna Dodu, która otrzymała to odznaczenie w r. 1878. Z tych 56 kobiet 31 jest zakonnicami, jedna, była markietanką, pani Jarrethout, należy do świata wojskowego, a 24 do świata mieszczańskiego. Z tych dwie Amerykanki, panie Manning i Palmer a jedna Austryaczka, pani Rosthorn, małżonka posła austryackiego w Pekinie, która odznaczyła się prawdziwem bohaterstwem podczas oblężenia poselstwa francuskiego w temże mieście.

*

Bernard Erdmannsdoerffer, jeden ze znakomitych współczesnych historyków niemieckich, umarł w Heidelbergu, gdzie zajmował katedrę profesorską. Urodzony w r. 1837-ym w Altenburgu, wykładał kolejno historyę w uniwersytetach Jeny, Berlina, Wrocławia, wreszcie Heidelberga, gdzie zajmował katedrę od 1874-go r. W r. 1859-tym wysłany był przez komisyę historyczną w Monachium do Włoch, celem gromadzenia materyałów do wydawnictwa aktu sejmu cesarstwa niemieckiego. Do najważniejszych prac zmarłego należą: „Dokumenty do historyi elektora Fryderyka Wilhelma w Brandenburgii" i „Historya Niemiec od czasu pokoju westfalskiego do objęcia rządów przez Fryderyka Wielkiego".

Bańki mydlane.

Sukmanką śniegów otulona
Wieczorne pieśni wioska śpiewa...
Hen! na zachodzie dzioken kona —
Nadchodzi nocka czarnobrewa...
Miesiąc łagodnym blaskiem zlewa
Wierzchołki wzgórz.,
Cisza... Okiścią prószą drzewa...
Hen! na zachodzie dzionek kona...
Sukmanką śniegów otulona
Wieczorny pacierz wioska śpiewa
Na Anioł Stróż!
Cisza... Do snu się kładą echa...
Dokoła nocka ugwiaździona —
Gdzieniegdzie światłem błyśnie strzecha.
Sukmanką śniegów otulona
Zasypia wioska u wygona
Za zrębem wzgórz..
Cisza... Krzyż rozpiął swe ramiona,
Patrzy.. i z wyżyn się uśmiecha!
Do snu się kładą wszystkie echa...
Dokoła nocka ugwiaździona
I Anioł Stróż!

El.

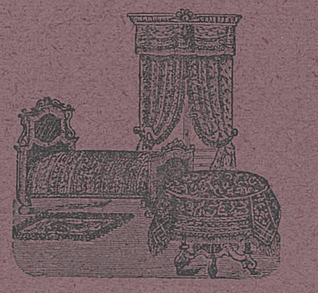
Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE“

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)

Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.
14—44

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego.

10—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAL i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 20—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Światowa wystawa. — Paryż 1900.

Odznaczenie na wystawach!

Złoty medal! **Złoty medal!**

DOSKONAŁE

wina dalmatyńskie, chorwackie i styryjskie stołowe, deserowe i kuracyjne

poleca 9—12

ręcząc za ich prawdziwość i naturalność

SKŁAD WIN

Braća Didolić

Lwów, ul. Czarnieckiego l. 3.

Pokój do zebrań towarzyskich!

Wspierajmy Przemysł krajowy.

Krajowy Związek przemysłowy

Krajowa Agencya przemysłowa.

Poleca w największym wyborze:

Płótna od najgrubszych do najcieńszych, apretowane i nieapr. **Bielizna** stołowa, cierki, ręczniki, chustki, drelichy. **Płócienka** kolorowe. **Sukna** modne i na ubrania studenckie i sokole. **Burki** i bundy sławuckie. **Koce** na łóżka i konie. **Portyery i firanki. Kilimy,** makaty buczackie **Kosze i kufry,** meble bambusowe. **Wyroby powroźnicze. Majolika** kołomyjska i rzeźby. **Gotowe** ubrania męskie i wyprawy. 24—24

W Bazarach: we Lwowie ulica 3-go Maja l. 5., w Krakowie Rynek l. 20., w Nowym Sączu, w Przemyślu, w Tarnopolu.

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE“

„PRIMUS“

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2
18—52

PREMIE

„TYGODNIKA NARODOWEGO“

Każdy prenumerator, zamawiający „Tygodnik Narodowy“ na cały rok 1901, otrzyma jako **premię bezpłatną** jedną z następujących powieści Wojciecha hr. Dzieduszyckiego do wyboru, a to:

„Mieszane małżeństwo“ . . 2 tomy
„Święty Ptak“ . . . . . 2 tomy
„W Paryżu“ . . . . . . 3 tomy

Nadto każdy Prenumerator, uiszczający należytość z góry za cały rok, otrzyma jako drugą **premię bezpłatną**:

ALBUM

zawierające 10 kartonów z reprodukcyami najwspanialszych dzieł nowoczesnych malarzy.

!Portrety olejne!

Wedle fotografii na płótnie.

!!!Zadziwiająco tanio!!!

a także i na raty.

Wykonywane w kraju.

Jedyna agencya

K. CZAPEK

we Lwowie 6—?

ulica Kochanowskiego 18.

Skład wędlin

M. Kamińskiego

Lwów

Hotel Georga

Poleca zawsze świeże wędliny szczególnie kiełbasę do gotowania „SECESSION“.

Wysełka za pobraniem.

Ceny umiarkowane — dla odsprzedających znaczny rabat.
7—8

Nowo otworzona restauracya w pasażu kryształowym

niniejszem ogłasza Sz. P. T. Publiczności, iż lokal otwarty do godziny 1. w nocy przy muzyce pułku 30-go.

Zaopatrzona w doborowe gatunki win, likierów i wódek oraz świeże piwo pilzneńskie.
Kuchnia zadowolnić może najwybredniejszych smakoszy; udowodnić mogę podziękowaniami, jakie otrzymałem za smaczne i punktualne wykonanie.

2—52

Z szacunkiem

LEON ORŁOWSKI.

OGŁOSZENIE.

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Władze, Publiczność i zawodowych Kolegów, że z dniem 16. lutego 1901 otworzyłem przy ul. **Batorego 6.**, na I. piętrze we Lwowie

Biuro konc. dla spraw ogrodniczych.

Potrzeba takiego zakładu daje się odczuwać w całym kraju, a to ze względu na rozbudzenie się zmysłu u Szanownej P. T. Publiczności dla ogrodnictwa, jako przedmiotu wielce sympatycznego i zdaje mi się, że żywotność przedmiotu samego, jakoteż działania zakładu w powyższym kierunku, zostaną zadokumentowane przez interesowanie się Szan. P. T. Władz, szerszej Publiczności i zawodowych Kolegów licznem poparciem tej pierwszej, a niebywałej w kraju instytucyi. Zadaniem biura takiego będzie ułatwienie Szan. P. T. Publiczności wszelkich spraw, tyczących się zakresu ogrodnictwa tak ozdobnego, jakoteż użytkowego wogóle, jak niemniej pośrednictwem w poszczególnych wypadkach w tym przedmiocie, jako to:

a) Polecanie zdolnych, praktycznych i egzaminowanych ogrodników,

b) Polecanie dobrych firm krajowych,

c) Pośrednictwo pomiędzy firmami a Publicznością,

d) Udzielanie wszelkich informacyj z dziedziny ogrodnictwa ustnie i pisemnie, w bliższem oznaczeniu: Wypracowanie planów do zakładania parków i ogrodów wszelkiego rodzaju, tudzież kiosków, mostków, stawów, skał, grot, wodotrysków, ogrodzenia, ławek i przekształcenie starych zapuszczonych parków w nowe stylowe z uwzględnieniem odsłonięcia okolicznych krajobrazów i godnych widzenia przedmiotów.

Równocześnie nadmienić muszę, iż chcąc w zupełności zadowolić Szan. P. T. Publiczność, pozyskałem do wspólnego działania pierwszorzędne siły krajowe w sztuce ogrodniczej. Dla dogodności Szan. P. T. Publiczności utrzymuję na składzie komisową sprzedaż wszelkich gatunków nasion, herbaty, naturalnych win zagranicznych i krajowych, wódek w oryginalnych flaszkach. Cenniki tych towarów wysyłam na żądanie franco.

Interesowanych w sprawie wymienionych przedmiotów tak z dziedziny ogrodnictwa, jakoteż i komisowych towarów, zapraszam najuprzejmiej do łaskawego zgłaszania się. Chętna i rzetelna usługa we wszystkich kierunkach tu wymienionych, udzieli mi możność zdobycia sobie zaufania u Szan. P. T. Władz, Publiczności i zawodowych Kolegów. Polecając się łaskawym względom, zostaję z głębokiem uszanowaniem

1—1 **Edward Jahl,** zawodowy ogrodnik.

Masło kuchenne wyborne

poleca

MLECZARNIA PRZEWORSKA

3—3 Lwów — Hetmańska 8.

Jakób Ehrenfeld

we Lwowie, plac Unii Brzeskiej 8.

Specyalny Zakład wyrobu wag.

Wykonuje wszelkie wagi dziesiętne i setne według najnowszych konstrukcyj, począwszy od 25 kgr. i wyżej i ma takowe na składzie, wagi do magazynów kolejowych i gepeków, dla zarządów dóbr do ważenia zboża, bydła, z poręczami żelaznemi. Wagi dziesiętne-setne skalowe do ważenia za pomocą ciężarka do przesuwania i z aparatem kontrolującym. — **Wagi mostowe** do ważenia wozów i wagonów kolejowych do 60.000. — **Wagi automatyczne** do ważenia osób. Automatyczne siłomierze do próbowania i ważenia siły. — **Wagi precyzyjne** ścisłe dla aptek, do ważenia złota i innych drogich rzeczy. — **Wagi handlowe** stołowe na postumentach, balansowe, krzyżowe, kantary itd.—Przyjmuje wszelkie reparacye tak w miejscu, jak i na prowincyi. — Zamówienia uskutecznia się w jak najkrótszym czasie.

Polecam Szanownej P. T. Publiczności moją pracownię wag jako jedyną, która może stanąć z pierwszemi fabrykami zamiejscowemi, dając materyał doborowy z żelaza kutego, robotę ręczną, nie jak fabryki, laną, ręcząc za dokładną i sumienną pracę i dając najumiarkowańsze ceny.

3—4 Z poważaniem **JAKÓB EHRENFELD.**

Główny skład browaru Arcyk. Karola Stefana w Żywcu

przy ulicy Sykstuskiej l. 33.

utrzymuje na składzie piwo cesarskie jasne jak pilzneńskie, eksportowe, porter w oryginalnych beczkach, butelkach i w syfonach 5-cio litrowych.

UWAGA. Porter uznany jako piwo kuracyjne.

Zastępca J. O. Seelenfreund

2—8 ul. Sykstuska l. 33.

W interesie ludzkości!

Kto chce być zdrowym niech pije

KAWON

Jest to kawa pozbawiona alkaloidów, a tem samem wszelkich narkotyków, które drażnią nerwy, szkodliwe są na serce i na piersi. Kawon powinni pić osłabieni i rekonwalescenci, dzieci i anemiczni. Przyrządza się go zupełnie tak samo, jak kawę t. j. zaparza w maszynce lub gotuje się z mlekiem lub śmietanką, bez żadnej domieszki cykoryi. Sądzę, że społeczeństwo nasze zechce zrozumieć doniosłość tego wynalazku dla dobra własnego, a jestem przekonany, że kto raz spróbuje Kawonu, kawy pić nie będzie.

Cena pakietu na 12 szklanek 40 hal. (20 ct.)

Uprasza się zwracać baczną uwagę na markę ochronną z serduszkiem.

Dostać go można we wszystkich handlach korzennych i drogueryach.

Zamówienia na prowincyę od 10 paczek wysyła kantor, Lwów, Chorążczyzna 19.

6–12 **Artur Doliński i sp.**

Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	Boa gazowa	Aplikacye
Wielki wybór	Szale jedwabne	Pasmanterye
Ceny niskie	Żaboty	Paski
	Weloniki	Gorsety.

19–52

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 10—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

Poleca się HANDEL WINA Ludwika Stadtmüllera we Lwowie ul. Krakowska l. 9.

5—12

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.